

opusdei.org

Świętość na co dzień

Wywiad z ks. dr. Piotrem Prieto Villanueva. Fragment książki „Szczęśliwa służba”, wywiady prowadzi Marzena Juraczko.

15-05-2020

Książka ukazała się 2 kwietnia 2020 roku w Wydawnictwie Bernardinum z Pelplina.

Marzena Juraczko - dziennikarka z ponad dwudziestoletnim stażem.

Absolwentka Uniwersytetu

Warszawskiego. Mieszka w

Warszawie. Na co dzień pracuje w

*redakcji "Tele Tygodnia" i
przeprowadza wywiady z aktorami
oraz ludźmi mediów.*

***Czy pamięta Ksiądz dzień, w
którym po raz pierwszy postawił
nogę na polskiej ziemi?***

Oczywiście, nawet bardzo dokładnie.
To było 27 czerwca 1995 roku.

Towarzyszyły mi wielkie emocje.

Bardzo cieszyłem się, że przyjeżdżam
do ojczyzny Jana Pawła II, który miał
dla mnie szczególne znaczenie.

Wiedziałem, że to kraj, gdzie wiara
jest głęboko zakorzeniona, ale też
kraj, który dużo wycierpiał. I że
mieszkają tu dobrzy, ciepłi i gościnni
ludzie.

***Skąd czerpał Ksiądz te informacje
o Polsce?***

Od pięciu lat działało tu Opus Dei, czyli przede mną była już grupa kobiet i mężczyzn, którzy opowiadali nam, jak tu się żyje. Potrzebne były ręce do pracy, bo coraz więcej osób uczestniczyło w środkach formacyjnych. Przyjechało nas wówczas siedmiu z różnych krajów: z Hiszpanii, Meksyku, Argentyny, Chile i Francji. Byłem jedynym księdzem w tym gronie. Pozostali byli numerariuszami o różnym wykształceniu. Wśród nich mieliśmy między innymi inżyniera i ekonomistę. Po przyjeździe do Polski podjęli pracę w swoich zawodach, jednocześnie tworząc nowe ośrodki Opus Dei.

To była pierwsza wizyta Księdza w Polsce?

Tak, po raz pierwszy znalazłem się wtedy nad Wisłą. Wcześniej widziałem Polskę tylko na zdjęciach. Kiedy prałat Javier Echevarría

Rodríguez, który w tamtym czasie stał na czele Opus Dei, zapytał mnie, czy nie chciałbym pojechać do Polski, chętnie i szybko przystałem na tę propozycję. Martwiło mnie wtedy jedynie to, że nie znam języka. Kiedy wylądowałem na Okęciu, umiałem powiedzieć po polsku tylko „Dzień dobry”.

To jak Ksiądz sobie poradził? Nie było chyba łatwo bez znajomości języka?

Na szczęście w Opus Dei językiem, którym wszyscy się porozumiewamy, jest hiszpański, ponieważ w tym języku są napisane pisma naszego założyciela, świętego Josemaríi Escrivy. Ale oczywiście z powodu nieznamości języka polskiego miałem problem. Na początku spowiadałem i prowadziłem rekolekcje tylko po hiszpańsku. Ale z czasem zaczęło się to zmieniać.

W 1995 roku Polska wyglądała inaczej niż dzisiaj. Dużo było szarości i w sklepach półki nie uginały się jeszcze od towarów...

Tak. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Na Zachodzie panował w tamtym czasie dobrobyt, w wielu wypadkach nawet mocno przesycony. Każdy miał – myślę, że nie przesadzę – po dwa samochody. Polska natomiast była szara, bez kolorowych bilbordów. Ale z drugiej strony rzuciło mi się w oczy, że na każdym rogu ulicy stał sprzedawca z kwiatami, a w kioskach można było kupić kosmetyki. Idąc ulicą, nie rozumiałem żadnych nazw sklepów, wszystko było napisane w języku polskim. Apteka czy poczta nie kojarzyły mi się z czymś, co znałem. Pamiętam, że jadąc Wisłostradą, zobaczyłem nagle wielki bilbord z nazwą Michelin – wtedy poczułem się swojsko, bo wiedziałem, co to jest. Poczuję się, jakbym zobaczył

mamę(*śmiech*). Jednocześnie od początku miałem wrażenie, że dookoła mnie są bardzo mili ludzie. Często jeździłem wtedy pociągami z Warszawy do Szczecina. Słuchałem rozmów współpasażerów, ale mało rozumiałem. Mimo to zawsze kogoś poznawałem. To były ciepłe i ciekawe spotkania.

Rozumiał jednak Ksiądz coraz więcej i więcej, aż wreszcie zaczął mówić po polsku.

To był olbrzymi skok. Przeszedłem kurs językowy w Warszawie. Półtora roku od przyjazdu, dokładnie 2 października 1996, pierwszy raz usiadłem w konfesjonale, żeby spowiadać. Miało to miejsce w kościele Świętej Anny na Krakowskim Przedmieściu. Ludzie wiedzieli, że muszą mówić do mnie powoli, żebym ich dobrze zrozumiał. Udało się! Od tego momentu

zacząłem również pisać i czytać homilie w języku polskim.

Języka hiszpańskiego używa około 650 milionów ludzi na świecie, a polskiego – tylko my, razem z Polonią to zaledwie niespełna 60 milionów. Dla nas to egzotyczna sytuacja, kiedy obcokrajowiec mówi płynnie w naszym języku. Ksiądz doskonale sobie z tym radzi...

Wydaje mi się, że zdolności do nauki języków obcych nie są związane z ilorazem inteligencji, ale ze słuchem. W moim wypadku pomogła mi moja pasja, czyli muzyka. Śpiewam, gram na gitarze i mam dobry słuch. Być może to mi pomogło, żeby szybko nauczyć się komunikować. Bardzo pomocne było też to, że lubię polską kulturę. Poza tym, będąc księdzem, muszę dużo mówić. Głoszę kazania, spowiadam, rozmawiam z ludźmi. Do tego konieczna jest znajomość

języka. Znam grupę Hiszpanów, którzy pracują w korporacjach i nie czują motywacji do nauki polskiego, bo rozmawiają najczęściej po angielsku, trochę po polsku. I to im wystarczy. W moim wypadku to niemożliwe. Wykonując swój zawód, muszę się komunikować z ludźmi w ich języku. Wciąż się uczę polskiego, poprawiam wymowę. Dopiero w niebie będę płynnie mówić po polsku, ale tam mam wieczność na osiągnięcie perfekcji w tej dziedzinie. (śmiech)

Wspomniał kiedyś Ksiądz, że już nawet myśli po polsku.

Owszem, zdarza mi się czasami zastanawiać, jak dane słowo brzmi po hiszpańsku, bo po polsku dobrze już wiem.

Z czasem nasz kraj stał się dla Księdza drugą ojczyzną. W 2019 roku otrzymał Ksiądz nawet

polskie obywatelstwo. Skąd to pragnienie, żeby zostać Polakiem?

Od tak dawna tu pracuję, że naturalne było dla mnie to, że powinienem mieć także polskie obywatelstwo. Wielu moich studentów urodziło się po 1995 roku, czyli mieszkają w tym kraju krócej niż ja. Co oni mogą więc powiedzieć o Polsce w porównaniu ze mną, który tak wiele lat dla niej pracuję?

Obywatelstwo polskie traktuję jak wielką łaskę. Otrzymałem je od prezydenta Andrzeja Dudy i od razu poszedłem wyrobić sobie dowód osobisty. Ponieważ przekroczyłem sześćdziesiąty piąty rok życia, mam teraz zniżki na bilety autobusowe oraz na basen.

Polakom Hiszpanie kojarzą się z żywiółowością, otwartością, corridą i flamenco. A jakie stereotypy na temat Polaków funkcjonują w Hiszpanii?

Kiedy tutaj przyjechałem, niewiele wiedziałem o Polsce. W tamtym czasie dla Hiszpanów to był odległy, egzotyczny kraj. Słyszałem tylko, że język jest trudny, że naród wiele wycierpiał i ma dużo bohaterów. Oczywiście, kiedy Jan Paweł II został papieżem, stał się dla Hiszpanów taką ikoną Polaka – sympatycznego, z poczuciem humoru. Podziwiano jego silną wiarę i zmagania z cierpieniem. Robił na Hiszpanach ogromne wrażenie. Inna postać, o której się mówi, to Lech Wałęsa. Jest znany na całym świecie i uznaje się go za bohatera. Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, razem z rodzeństwem i rówieśnikami czytaliśmy po hiszpańsku „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. Wiedzieliśmy, że ten pisarz był Polakiem, ale nic więcej. Większość osób nawet nie kojarzy, że Fryderyk Chopin był Polakiem. Myślę jednak, że między nami, Polakami i Hiszpanami, jest wiele podobieństw. Pomimo bariery językowej Hiszpanie

czują się tutaj bardzo dobrze i odwrotnie – Polacy też lubią odwiedzać Hiszpanię. Mamy też podobnie poczucie humoru, a także... lubimy narzekać. (*śmiech*)

Ale Ksiądz chyba nie narzeka?

Moi studenci zawsze żartowali, że postrzegam świat pozytywnie, ale na pewno kiedy zostanę Polakiem, to zacznę narzekać. Tak się nie stało. Uważam, że my, żyjący w Polsce, nie doceniamy tego, co mamy. W innych krajach jest ogromny kryzys wartości, a tutaj panuje wielki potencjał zarówno kulturowy, jak i w innych dziedzinach. Wiara wciąż jest żywa. Dlatego grzechem byłoby narzekać.

Jaka cecha najbardziej kojarzy się Księdzu z Polakami?

Gościnność! Na początku, kiedy tu przyjechałem, robiło to na mnie duże wrażenie. Gdy byłem u kogoś w

domu, najpierw częstowano mnie ciastem, kawą, herbatą. I kiedy myślałem, że to wszystko, nagle na stole lądowało jedzenie! Mięso, kapusta! W Hiszpanii tego nie ma. Ale dobrze rozumiem, skąd biorą się te różnice. W Polsce przez wiele lat ludzie biesiadowali w domach, a Hiszpanie na ogół spotykają się na zewnątrz, w restauracjach, kawiarniach, chociaż mamy też mocno zakorzenione zwyczaje rodzinne i – podobnie jak Polacy – lubimy spotykać się w domach.

Ksiądz jest silnie związany ze swoimi bliskimi. Pochodzi Ksiądz z Asturii, czyli z północnej części Hiszpanii. Jest czwarty z sześciorga dzieci. Proszę opowiedzieć o swoim dzieciństwie.

Oboje moi nieżyjący rodzice byli katolikami. Dzięki nim miałem piękne dzieciństwo. Bardzo im za to dziękuję. Im więcej upływa lat, tym

bardziej odkrywam, kim byli.
Poznaję historię ich życia, która
wcale nie była łatwa z powodu
zawirowań politycznych w Hiszpanii.
Chodzi przede wszystkim o czasy
wojny domowej i po jej zakończeniu,
kiedy panowała wielka bieda.
Ukazała się niedawno książka, w
której opisane są losy mojego ojca. Z
niej dowiedziałem się między innymi
o trudnych faktach, kiedy siłą został
wcielony do wojsk republikanów i
wysłany na front. Potem, po wojnie,
nie mając rodzeństwa, bo dziadek
zmarł, kiedy mój tata był mały,
musiał iść od razu do pracy i nie
mógł studiować.

Nigdy o tym nie opowiadał?

Rodzice uznali, że dzieci powinny żyć
bez tej wiedzy. Nie chcieli nas
obciążać strasznymi
wspomnieniami. Może sami też
chcieli zapomnieć. A poza tym, może
było lepiej o takich sprawach nie

rozmawiać, bo w małej miejscowości, w której mieszkaliśmy, byli też donosiciele i szpiedzy. Dlatego mój ojciec i mama postanowili nigdy nie poruszać tego tematu. Przebaczyli swoim prześladowcom i nie wracali do tych wspomnień. Dopiero teraz niektóre fakty z ich historii ujrzały światło dzienne. Znałem ojca jako dyrektora fabryki produktów spożywczych, należącej do znanej na świecie marki. Był pracowity, mądry, szeroko uzdolniony artystycznie. Nic nie wiedziałem o jego wojennych przeżyciach. Dowiedziałem się po jego śmierci, kiedy oglądałem film, w którym udzielił długiego wywiadu. Przeprowadził go mój młodszy brat.

Dość szybko wyfrunął Ksiądz z rodzinnego gniazda, bo już jako siedemnastolatek podjął studia w Barcelonie na Wydziale Architektury tamtejszej Politechniki. Z rodzinnego Sevares

do Barcelony jest około ośmiuset kilometrów!

Było inaczej. Miałem szczęście, bo gdy zdałem maturę, moja rodzina przeprowadziła się do Barcelony. Mój ojciec dostał tam pracę. To była wielka zmiana dla nas wszystkich. Pamiętam, jak rodzice konsultowali z nami decyzję o przeprowadzce. Wiązało się to przecież nie tylko z innym klimatem – w Barcelonie jest dużo cieplej niż na północy Hiszpanii – ale także z innym językiem: katalońskim. Braliśmy również pod uwagę różnice kulturowe – Katalonia to jednak dla nas, można powiedzieć, inny kraj.

Ale, jak widać, Księdzu ta przeprowadzka była na rękę, bo mógł realizować swoje marzenie o architekturze. Skąd wzięła się ta chęć projektowania budynków?

Mój tata w młodości też chciał być architektem. Również malował. A ja

odziedziczyłem po nim te artystyczne zdolności. Już w dzieciństwie dużo rysowałem. W pewnym momencie pojawiła się też pasja do kina. Zastanawiałem się nawet, czy nie zostać reżyserem filmowym.

Dlaczego tak się nie stało?

Ta akurat pasja przeszła na mojego brata, który jest reżyserem, nakręcił kilka produkcji krótkometrażowych, a także wykłada w szkole filmowej. Do dziś lubimy rozmawiać o filmach.

Ksiądz ostatecznie wybrał architekturę.

I gdybym urodził się jeszcze raz, to też bym ją wybrał. Oczywiście dzisiaj mamy inny świat. Komputery bardzo pomagają w projektowaniu. W czasach, kiedy ja studiowałem, wszystko wyglądało inaczej. Mimo to wciąż uważam, że jest to wspaniały zawód.

Do architektury jeszcze wrócimy, ale wcześniej chciałam zapytać o pozostałe rodzeństwo. Czym dzisiaj zajmują się Księżdzia bracia i siostry?

Nasi rodzice bardzo nas mobilizowali do nauki. Każdemu zapewniali warunki do dalszej edukacji. Zawsze powtarzali, że ich obowiązkiem jest pomóc nam w skończeniu studiów, ale dalej musimy sobie radzić sami. Najstarsza siostra jest chemikiem, druga z kolei – biologiem, ma tytuł profesora i wykłada na uniwersytecie. Trzecim dzieckiem w naszej rodzinie jest mój brat, który skończył filozofię, a potem przez wiele lat był dyrektorem finansowym pewnej firmy w Barcelonie. Następnie jestem ja, po mnie wspomniany wcześniej brat – absolwent historii sztuki, który jest reżyserem i wykładowcą. Najmłodsza siostra wybrała medycynę i została lekarzem.

***Wszyscy świetnie wykształceni!
Spełniliście marzenie rodziców.***

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, kiedy studiowaliśmy, to były dobre czasy dla Hiszpanii. Wszystko się rozwijało – gospodarka, kraj... Dlatego zdobycie wykształcenia nie było trudne.

Ale trzeba było mieć do tego motywację. Ksiądz wraz z rodzeństwem ją mieliście.

Myślę, że duży wpływ na to miały nasze dwie starsze siostry, bardzo inteligentne, które dawały nam, młodszemu rodzeństwu, dobry przykład. Ale też rodzice. Z perspektywy czasu coraz bardziej doceniam, jakimi wspaniałymi ludźmi byli. Bardzo lubię ich wspominać i o nich rozmawiać. Byli aktywni aż do śmierci i zmarli w zaawansowanym wieku.

Mieli to szczęście, że długo mogli towarzyszyć swoim dzieciom i podziwiać, na jakich wspaniałych ludzi wyrosły.

Tak. Żyli w otoczeniu swoich dzieci, wnuków i prawnuków. Byli wspaniałym przykładem małżeństwa, rodziców i dziadków.

Mimo że mieli tak trudne doświadczenia w początkach życia... O ciężkich czasach wojny domowej w Hiszpanii coraz więcej dowiadujemy się dopiero teraz. Pojawia się wiele publikacji na ten temat. Ksiądz miał okazję posłuchać, jak to było, od samego Josemaríi Escrivy, założyciela Opus Dei, który też był ofiarą prześladowań w czasie tamtej wojny.

Święty Josemaría Escrivá był księdzem diecezjalnym w Madrycie. Tam zaczęło się Opus Dei. Kiedy w

tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, rozpoczęło się jawne prześladowanie Kościoła. Masowo zabijano księży i siostry zakonne. Wystarczyło wyjść w sutannie na ulicę, żeby stać się obiektem ataku. W tamtym czasie zabijano duchownych bez procesów. Palono też kościoły. Jeden z sąsiadów księdza Josemaríi Escrivy był do niego bardzo podobny. Komuniści, myśląc, że to ksiądz Escrivá, zamordowali tego mężczyznę. Josemaría Escrivá bardzo to wszystko przeżywał. Do końca życia modlił się za tego człowieka. Jednocześnie miał wewnętrzne przekonanie, że powinien przeżyć i kontynuować rozpoczętą pracę apostolską. Członkowie Opus Dei próbowali go za wszelką cenę ratować. Zorganizowano najpierw ucieczkę do Walencji, potem do Barcelony, a następnie przedarli się przez Pireneje do Francji. Miało to

miejsce w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. Do Madrytu ksiądz Josemaría Escrivá wrócił dopiero dwa lata później, kiedy zakończyła się wojna domowa.

O niektórych z tych dramatycznych wydarzeń opowiadał potem swoim uczniom, wśród których był też Ksiądz.

Miałem to szczęście. Pamiętam, jak opowiedział mi o słynnym przejściu przez Pireneje, kiedy uciekał wraz z grupą swoich uczniów ze strefy, gdzie prześladowano Kościół. Niechętnie jednak wracał do tamtych czasów. Wolał żyć teraźniejszością. Kiedyś powiedział nam, że chociaż spisał swoje wspomnienia, to niektórych rzeczy nie upubliczni, żeby nikomu w ten sposób nie zaszkodzić. Takie to były straszne czasy, że nawet po latach nie chciał o nich mówić. Na szczęście Bóg tak chciał, że w Opus Dei, tak jak w

każdej instytucji kościelnej, mamy charyzmat przebaczenia. A jest co przebaczać, bo jak widać, już od samego początku Opus Dei wydarzyło się wiele cierpienia i prześladowań.

Proszę opowiedzieć, w jakich okolicznościach poznał Ksiądz osobiście Josemaríę Escrivę.

Byłem wtedy na drugim roku architektury. W 1972 roku Josemaría przyjechał do Barcelony z katechezą dla członków Opus Dei i innych ludzi, pragnących poszerzyć swoją wiedzę o Bogu i wierze katolickiej. W Hiszpanii, ale też w Portugalii, to był czas chaosu doktrynalnego. Ksiądz Josemaría Escrivá postanowił poprowadzić serię katechez porządkujących pewne sprawy. W tamtym czasie pojawiały się bowiem głosy o zaprzestaniu spowiedzi indywidualnej, a także o zakończeniu kultu Najświętszej Marii

Panny. Mówiono też, że nie trzeba chrzczyć dzieci tuż po urodzeniu. Pamiętam, że Josemaría wygłaszał katechezy stanowczo, ale też z poczuciem humoru. Wtedy go poznałem.

Jakim był człowiekiem w bezpośrednim kontakcie? Mówi Ksiądz, że lubił żartować, mimo że ciężko chorował i miał tak wiele trudnych doświadczeń w życiu osobistym.

Ponieważ spotkania odbywały się w domu rekolekcyjnym, w którym wszyscy mieszkaliśmy, to wieczorami spędzaliśmy wspólnie czas.

Pamiętam, że tego dnia, kiedy go poznałem, śpiewałem z kolegą jakąś piosenkę o miłości. I wtedy ksiądz Josemaría powiedział nam, że słowa tej popularnej piosenki o miłości mogą być dobrym tematem do rozważań na naszej modlitwie tamtego wieczora. Innym razem, już

po kolacji, siedzieliśmy razem na tarasie. Powiedziałem mu, że studiuje architekturę. Josemaría Escrivá odpowiedział z uśmiechem: „Ja też chciałem być architektem. Gdybym nim został, pewnie nie budowałbym tylu domów jak teraz”. Kolejne spotkanie miało miejsce rok później. Spędziliśmy z nim cały wrzesień w 1994 roku. Zawsze był ciekawy, czym się zajmujemy, zadawał wiele pytań na temat naszego życia. Bardzo lubił nas słuchać. Wszystko go interesowało. A jednocześnie zawsze był gotowy wyjaśniać nam różne kwestie, które nas trapiły. Był niezwykle ciepłym, serdecznym człowiekiem. Takim naszym ojcem. Miał wielki wpływ na moje życie osobiste.

Czy była jakaś rozmowa, którą szczególnie Ksiądz zapamiętał?

Przyszedł kiedyś do nas około dwudziestej trzeciej i zaczął mówić o

osobistej modlitwie. Wydaje mi się, że po raz pierwszy zrozumiałem wtedy, na czym polega wartość szukania osobistej zażyłości z Chrystusem, która jest dostępna dla wszystkich, jeśli o to walczymy. Wtedy też opowiedział nam o przejściu przez Pireneje. To spotkanie wywarło na mnie ogromne wrażenie. Miał niezwykłą zdolność, żeby we wszystkim, co się wokół niego działo, zobaczyć Boże znaki. To było dla niego bardzo charakterystyczne. W każdym momencie jego życia była kontemplacja, zjednoczenie z Bogiem, bo praca czy spotkanie z kolegami nie oddalają nas od Boga. Wręcz przeciwnie – w tym wszystkim Pan Bóg jest obecny. Świat nie jest przeszkodą, żeby być blisko Boga, bo On jest w tym świecie. Stąd też czerpiemy radość. Niezależnie od tego, co się dzieje w naszym życiu – czy cierpimy, chorujemy... Najważniejsze jest, że w tym

wszystkim obecny jest Bóg. Można cierpieć, ale nie ma smutku, bo Bóg jest blisko. Josemaría bardzo dużo cierpiał, a mimo to był bardzo radosnym człowiekiem.

Przeczuwał wtedy Ksiądz, że rozmawia z przyszłym świętym?

I tak, i nie. W tamtych czasach myślałem, że on zawsze będzie z nami. Nie brałem pod uwagę faktu, że może umrzeć, mimo że któregoś wieczoru mówił o tym. Czuł, że niedługo odejdzie. Nawet w pewien sposób się z tego cieszył, ponieważ wiedział, że Opus Dei dobrze funkcjonuje, wykonał więc powierzone mu zadanie. To było dla niego najważniejsze. Powiedział też, że są bracia, którzy lepiej od niego poprowadzą Opus Dei dalej.

Jak to było z powstaniem Opus Dei?

Mówi o tym Konstytucja Apostolska: Opus Dei powstało z natchnienia Bożego. W ciągu wieków różne instytucje powstawały w Kościele z wielorakich powodów. W przypadku Opus Dei nastąpiło to w wyniku widzenia, które miało miejsce drugiego października 1928 roku. To było święto Aniołów Stróżów. Podczas osobistej modlitwy ksiądz Josemaría Escrivá otrzymał natchnienie założenia Opus Dei. Pan Bóg polecił mu stworzenie instytucji, która wróciłaby swoim charyzmatem do życia pierwszych chrześcijan, czyli naśladowania Jezusa przez uświęcanie się w codzienności. Pracując w polu, w domu, będąc żołnierzem, kupcem, rzemieślnikiem, żyjąc w małżeństwie czy celibacie. Jak pierwsi chrześcijanie, którzy stali się chrześcijanami poprzez chrzest, a to z kolei zobowiązywało ich do bycia świętymi na co dzień.

Opus Dei przypomina więc styl życia pierwszych chrześcijan. Dlatego charyzmatem Opus Dei jest „świętość na co dzień”.

Przez wiele wieków Kościół kładł nacisk na życie konsekrowane jako chrześcijański ideał życia. Dlatego zwykły wierny był niejako drugiej kategorii, stał w dalszym rzędzie niż osoba duchowna. Opus Dei przypomina tylko to, co zostało zapisane w Ewangelii. Każdy chrześcijanin ma swoje powołanie, a poprzez naśladowanie Pana Jezusa jest również powołany do świętości. Tak jak ci pierwsi, którzy poznali Chrystusa, tak i my mamy świadczyć swoim życiem o Jezusie. Na tym polega przecież chrześcijaństwo. I to jest właśnie ta „świętość na co dzień”. Tę prawdę przypomina też Sobór Watykański II. Być dobrym chrześcijaninem, to naśladować Jezusa na co dzień. Chodzi o to, żeby być punktualnym, wykonywać

rzetelnie swoje obowiązki, być do dyspozycji innych. Nie krytykować. Być dobrym ojcem, matką, mężem, żoną. I z tego powodu ludzie rozpoznają nas, że jesteśmy chrześcijanami, a nie tylko dlatego, że w niedzielę chodzimy do kościoła. Zarówno Jan Paweł II, jak i Paweł VI często powtarzali, że Josemaría Escrivá był prekursorem Soboru. Ciekawe jest też to, że w podobnym czasie pojawiły się w Kościele ruchy, które – tak jak Opus Dei – podkreślały to powołanie chrześcijanina do świętości. Z pomocą łaski Bożej walczymy o to, żeby nasza codzienna praca była wykonana jak najlepiej, bo chcemy ją ofiarować Bogu. Dlatego Opus Dei to *operatio Dei* – „praca dla Boga”. To On jest naszym szefem i widzi nas w codzienności. Wartość naszej pracy zależy od tego, z jaką intencją i miłością ją wykonujemy. Nie liczy się to, jak jest doceniana społecznie.

***Czy może Ksiądz wytłumaczyć,
kim są numerariusze,
numerariuszki? Są to osoby
świeckie, czym więc różnią się od
osób konsekrowanych? Kto może
dołączyć do Opus Dei?***

Kiedy ktoś poznaje ducha Opus Dei i widzi podczas modlitwy, że to jest dla niego czy też dla niej droga powołania, że chce szukać świętości przez swoje życie zawodowe, rodzinne i inne obowiązki, wtedy prosi o przyjęcie do prałatury Opus Dei. Opus Dei nie oczekuje, że ta osoba opuści miejsce, gdzie żyje, bo to właśnie w dotychczasowej pracy, w rodzinie, najbardziej się stara, żeby być oddanym i radosnym chrześcijaninem. Jeśli ktoś jest panną lub kawalerem, może podjąć decyzję, że będzie żyć w celibacie, żeby być bardziej dyspozycyjny dla innych. Przez to ma możliwość i czas prowadzić różne spotkania formacyjne. Może też zmienić miasto

czy kraj *et cetera*, szukając w nowym miejscu pracy w swoim zawodzie. Najważniejsze jednak jest to, że zarówno osoba, która ma powołanie do małżeństwa i żyje w swojej rodzinie, jak i ci, którzy chcą dobrowolnie żyć w celibacie, nie zmieniają swojej pozycji w Kościele. Wciąż pozostają zwykłymi wiernymi.

Taką wspólnotę ujrzał w swoim widzeniu Josemaría Escrivá. Od tego momentu do samego powstania Opus Dei minęło jednak trochę czasu.

Przez dziesięć lat przygotowywał się do tego. Początkowo myślał, że powinien dołączyć się do organizacji już działającej. Napisał między innymi list do Polski, do jednego z dziesięciu działających wówczas zgromadzeń sióstr bezhabitowych, założonych przez Błogosławionego Honorata Koźmińskiego. Okazało się jednak, że to zgromadzenie ma inny

charyzmat niż ten, o którym Josemaríi powiedział Pan Bóg podczas widzenia. Było dla niego zaskakujące, że Bóg właśnie jego wybrał na założyciela tej instytucji w Kościele. Miał wtedy ogromne zadanie, a zero środków.

Intensywnie zaczął pracować, żeby położyć fundamenty pod powstanie Opus Dei, ale piętrzyły się przed nim same trudności i niezrozumienia. Z drugiej strony miał pewność, że łaska mu sprzyja, bo to przecież nie był jego pomysł. On był pierwszym, który dołączył do Opus Dei. Bardzo podkreślał, że jego zadaniem było jedynie nie przeszkadzać działaniu Bożemu.

Czuł się narzędziem w rękach Boga, jak pisze w swojej książce „Droga”. A jak to się stało, że Ksiądz dołączył do Opus Dei?

Na pierwszym roku studiów w Barcelonie poznałem kolegę, który

zaprosił mnie na spotkanie Opus Dei. Byłem raczej negatywnie nastawiony do tego pomysłu. Chociaż uważałem się za katolika, to miałem dość luźne podejście do wiary. Dlatego uznałem, że ta forma uczestnictwa w Kościele jest dla mnie zbyt tradycyjna. Ale spodobała mi się tam jedna rzecz. Było to z mojej strony bardzo egoistyczne. Młodzież mieszkająca w akademiku Opus Dei uczyła się w czytelni i ja też zacząłem przygotowywać się tam do zajęć. Z czasem dołączyłem do spotkań formacyjnych, które, pamiętam, prowadził bardzo mądry ksiądz, wykładowca na uniwersytecie w Barcelonie. Niewiele jednak jeszcze z tego rozumiałem. Wszystko zmieniło się, kiedy wziąłem udział w rekolekcjach. Wtedy dotarło do mnie, że jestem kiepskim katolikiem i naprawdę mało wiem o swojej wierze. Od tego momentu zacząłem więcej czytać, pogłębiać wiedzę na

temat chrześcijaństwa. Więcej się też modliłem.

To wtedy pojawiło się pragnienie wstąpienia do Opus Dei?

Początkowo nie wyobrażałem sobie, że mógłbym należeć do tej instytucji kościelnej. Myślałem sobie: „Ja i celibat? Nigdy w życiu!”. Ale kiedy to powołanie coraz bardziej zaczęło się do mnie zbliżać, byłem już na nie otwarty. Uważałem, że trzeba się temu przynajmniej przyjrzeć. I wreszcie, w kwietniu 1971 roku, napisałem list z prośbą o przyjęcie mnie do Opus Dei.

Do kogo napisał Ksiądz ten list?

Do księdza Josemaríi Escrivy. Potem oczywiście pismo zostało przekazane do wikariusza regionalnego. Zaczął się dla mnie czas próby, podczas której poznałem lepiej ducha Opus Dei i sprawdzałem, czy rzeczywiście jest to moje miejsce. W Opus Dei

bardzo istotna jest wolność osobista. Każdy z nas chce należeć dobrowolnie. To jest podstawowa kwestia. Mijały kolejne lata, w których co roku odnawiałem deklarację bycia w Opus Dei.

Czas studiów w Barcelonie był dla Księdza bardzo intensywny. Z jednej strony architektura, a z drugiej – rozwój duchowy pod skrzydłami Opus Dei. Mówiąc o architekturze w Barcelonie, nie sposób nie zapytać o najśłynniejszego twórcę z tego miasta, czyli Antoniego Gaudiego. Czy studiowanie w takim miejscu i w otoczeniu jego dzieł miało wpływ na Księdza jako przyszłego architekta?

Poznałem projekty Gaudiego na studiach. Chodząc ulicami Barcelony, nie sposób nie zauważyć zaprojektowanych przez niego budynków. Podziwiałem Park Güell

czy świątynię Sagrada Família. Był nie tylko architektem, ale i wizjonerem. Znakomity fizyk, matematyk, ale też znawca przyrody i biologii. Uważam, że był geniuszem, a na dodatek osobą głęboko wierzącą. Hiszpanie mówią o nim „architekt Boga”. Obecnie trwa jego proces beatyfikacyjny. Inicjatorem procesu jest mój kolega ze studiów architektury José Manuel Almuzara Pérez.

Na czym polega świętość Antoniego Gaudiego?

Poświęcił swoje życie, żeby wybudować Sagrada Família. A poza tym, był bardzo odważny w wyznawaniu swojej wiary.

Projektując słynną kamienicę La Pedrera, zaplanował, że zamieści na jej fasadzie blisko dachu napis *Ave, Maria, gratia plena, Dominus tecum*, czyli „Zdrowaś, Mario, łaski pełna, Pan z Tobą”. I ten napis się tam

znalazł, mimo że rozpętała się wtedy rewolucja antyklerykalna w Barcelonie. Te wydarzenia przeszły do historii jako Tragiczny Tydzień. Po nawróceniu Gaudí był bardzo oddanym katolikiem. Zginął w 1926 roku w wypadku, tuż po wyjściu z Mszy świętej.

Jego dzieła robią ogromne wrażenie, wzbudzają podziw, ale są też kontrowersyjne.

To prawda. On wywołuje emocje. Kiedy wchodzimy do bazyliki Sagrada Família, widać drzewa, wysokie palmy. Każdy element ma znaczenie. Wszystko jest bardzo symboliczne i katechetyczne. To naprawdę robi wrażenie. Oczywiście, jego styl można lubić lub nie, ale nie ma wątpliwości, że jest wartościowy pod względem architektonicznym i nowatorski.

Sagrada Família ma być ukończona na setną rocznicę

śmierci Antoniego Gaudiego, czyli w dwa tysiące dwudziestym szóstym roku.

Hiszpanie żartują, że świątynia buduje się dzięki poganom, bo zwiedza ją mnóstwo turystów z Japonii. Dzięki temu, że kupują bilety i dają dodatkowe wsparcie finansowe, prace posuwają się do przodu. Bo założenie jest takie, że budowa może być finansowana tylko z darowizn, bez udziału banków czy innych podobnych instytucji.

Antoni Gaudí, projektując Sagrada Família, stworzył tę świątynię jako instrument. Po zakończeniu budowli będzie najwyższym kościołem katolickim na świecie, a bicie dzwonów ma być słyszane z odległości trzech kilometrów. Poza tym łączy przeszłość, teraźniejszość – wciąż jest budowana – i przyszłość, nadal bowiem czekamy na efekt

końcowy. Jest więc w pewien symboliczny sposób komplementarna. To tylko kilka jej tajemnic, które udało mi się odkryć.

To prawda. Myślę, że jest ważniejsza, niż myślimy! (śmiech)

Po tej wycieczce po Barcelonie wróćmy do czasów, kiedy Ksiądz był studentem i już należał do Opus Dei. Kiedy narodziło się powołanie do kapłaństwa?

Po studiach pracowałem jako architekt. Odbyłem też służbę wojskową w marynarce wojennej. Potem pojawiła się propozycja, czy nie zostałbym kapłanem w Opus Dei. Byłem otwarty, więc zacząłem się nad tym zastanawiać. I wreszcie podjąłem decyzję. Pojechałem potem na dwa lata do Rzymu, żeby studiować teologię. Następnie rozpocząłem studia doktoranckie na Wydziale Prawa Kanonicznego na

Uniwersytecie Nawarry. W 1982 roku przyjąłem święcenia kapłańskie.

Dodajmy, że z rąk Jana Pawła II.

Tak szczęśliwie się złożyło, że Święty Jan Paweł II przyjechał wtedy z pielgrzymką do Hiszpanii. Ósmego listopada odbyła się w Walencji wielka uroczystość. Stu dwudziestu diakonów przyjęło z rąk papieża święcenia kapłańskie. Jednym z nich byłem ja, jako jeden z dwudziestu czterech z prałatury Opus Dei. To była wielka radość! Doskonale to pamiętam. Dla każdego kapłana ważne są święcenia, a jeśli odbywają się w tak niezwykłych okolicznościach, to tym bardziej jest to wyjątkowe wydarzenie.

Rodzice byli dumni?

Oczywiście! To było święto dla całej naszej rodziny. Po południu odbyło się dodatkowe spotkanie z papieżem w seminarium diecezjalnym. Potem

pojechałem w rodzinne strony, gdzie odbyła się moja prymicja.

Jaki był wtedy Jan Paweł II? Jak go Ksiądz pamięta?

Z powodu zamachu z 13 maja 1981 roku papież wciąż był jeszcze osłabiony. Potrzebował dużo odpoczynku. Pamiętam, że podczas wieczornego spotkania był wyraźnie zmęczony i szybko wrócił do siebie. Mimo to pielgrzymka była naprawdę wspaniała. Ojciec Święty był w Hiszpanii dwadzieścia dni i odwiedził bardzo wiele miast.

Jak Hiszpanie przyjmowali papieża Polaka?

To był niesamowity entuzjazm! Mnóstwo ludzi angażowało się w zorganizowanie papieskiej pielgrzymki, zwłaszcza młodzież w tym pomagała. Piękny czas. Na spotkanie na stadionie Camp Nou w Barcelonie, które odbyło się dzień

przed moimi święczeniami kapłańskimi, czyli 7 listopada, przyszło mnóstwo ludzi.

Skoro mówimy o młodzieży, to w 2011 roku odbyły się w Madrycie Światowe Dni Młodzieży, na które przybyły prawie dwa miliony uczestników!

Tak. Światowe Dni Młodzieży stanowiły wielki sukces, były bardzo dobrze zorganizowane. Wynikało to zapewne z doświadczenia z 1982 roku, kiedy to Jan Paweł II po raz pierwszy spotkał się z hiszpańską młodzieżą. W 2011 roku było już tak dużo osób, że nie zmieściły się na stadionie Santiago Bernabéu. Dla hiszpańskich biskupów to była wielka niespodzianka. Polacy tego może nie wiedzą, bo mają inną historię, ale po Soborze Watykańskim II Kościół w krajach Europy Zachodniej przeżywał duże trudności. Stracił na prestiżu.

Nastąpił kryzys duchowieństwa, kryzys doktrynalny. Bycie katolikiem było uznawane za coś nieidącego z postępem. Tymczasem Święty Jan Paweł II potrafił sprawić, że młodzież z dumą szła na mszę z papieżem. Był przecież świetnym rozmówcą, miał znakomite poczucie humoru, umiał przy tym komunikować się z młodymi ludźmi, śpiewał... To wszystko zmieniało podejście młodzieży do katolicyzmu. I to było wspaniałe.

Czy miał Ksiądz później kontakt z Janem Pawłem II?

Wiele razy byłem na audiencjach w Rzymie i na pielgrzymkach papieża w Polsce. Ale największym szczęściem było dla mnie stać blisko papieża podczas kanonizacji Świętego Josemaríi, która odbyła się 6 października 2002 roku w Watykanie. Byłem wtedy wikariuszem prałatury Opus Dei w

Polsce. Następnego dnia koncelebrowaliśmy mszę dziękczynną na placu Świętego Piotra z ówczesnym prałatem Opus Dei biskupem Javierem Echevarrią. Po tej mszy odbyła się audiencja z papieżem, podczas której było widać, że jest wyjątkowo radosny.

Podobno Jan Paweł II bardzo się cieszył, kiedy widział na kanonizacji wielki tłum: ponad trzysta tysięcy, a niektórzy nawet twierdzą, że prawie pół miliona osób. Mówił z uśmiechem: „Aż do Tybru!”. Ludzie wypełnili całą Via della Conciliazione, biegnącą z placu Świętego Piotra do rzymskiej rzeki.

Ojciec Święty bardzo wspierał naszą pracę formacyjną. Zawsze powtarzał, jak bardzo potrzebna jest ta świętość na co dzień. Kładł na to ogromny nacisk. Zależało mu, żeby osoby świeckie szczególnie czuły się do tego

powołane. Bardzo to podkreślał. Dlatego też cieszył się zarówno z beatyfikacji, jak i kanonizacji Świętego Josemaríi Escrivy. Powiedział o nim „święty codzienności”.

W maju 2019 roku została beatyfikowana pierwsza osoba świecka z Opus Dei, numeraria Guadalupe Ortiz de Landázuri. Kim była i jak żyła, że została błogosławioną?

Była Hiszpanką, z wykształcenia chemiczką. Jej ojciec został zamordowany w czasie wojny domowej. Był wojskowym, rozstrzelano go bez procesu. Ostatniej nocy przed wykonaniem wyroku jako dziewiętnastoletnia dziewczyna wraz z mamą towarzyszyła swojemu tacie. Wspierała ich oboje. Jak sama mówiła, przebaczyła tym, którzy skazali jej ojca na śmierć. Do Opus

Dei dołączyła w 1944 roku. Miała wówczas 27 lat. Pewnego dnia poszła na Mszę Świętą do jednego kościołów w Madrycie. Podczas liturgii eucharystycznej, mimo że nie była zbyt mocno skupiona na modlitwie, poczuła bardzo silne wewnętrzne poruszenie. Zapragnęła porozmawiać z kapłanem.

Skierowano ją do księdza Josemaríi Escrivy i tak poznała założyciela Opus Dei. W 1950 roku pojechała do Meksyku, żeby rozpocząć pracę apostolską najpierw w stolicy, gdzie powstały pierwsze ośrodki formacyjne dla studentek i zamężnych kobiet, a potem rozwijała wspaniałą pracę z dziewczętami z terenów wiejskich. Poprosił ją o to osobiście Josemaría Escrivá.

Powiedział, że skoro ma imię Guadalupe, to niech pojedzie do Matki Bożej z Guadalupe. Po powrocie do kraju chorowała, miała kłopoty z sercem. Mimo że nigdy nie wróciła w pełni do zdrowia, nadal

pracowała – w Rzymie, w Hiszpanii. Wykładała, zrobiła nawet doktorat. Zmarła w 1975 roku, miesiąc po śmierci Josemaríi Escrivy. Była wszechstronną kobietą, radosną, oddaną swojej pracy. Odważną – chodziła sama po dżungli, żeby dotrzeć do dziewcząt mieszkających z dala od miast. Jej proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 2001 roku, a w maju 2019 roku została beatyfikowana.

Czy w Hiszpanii imię Guadalupe jest popularne?

Nie tak bardzo, jak w mojej rodzinie, ale jest. Moja babcia miała tak na imię, matka chrzestna i jedna z kuzynek. Byłem też w Sanktuarium Matki Bożej w Guadalupe w Hiszpanii.

Beatyfikacja Guadalupe Ortiz de Landázuri pokazuje, że Kościół coraz częściej kanonizuje osoby świeckie, w tym małżeństwa.

Trwa proces beatyfikacyjny dwóch małżeństw, w tym Tomasa i Paquity Álvirów. Być może będą pierwszym małżeństwem z Opus Dei, które zostanie beatyfikowane. Bardzo się z tego cieszymy. Święty Josemaría Escrivá powtarzał, że jeśli ktoś próbuje być dobrym katolikiem poprzez działanie charytatywne, społeczne, osobiście angażuje się w różne inicjatywy pobożne, a nie szuka świętości przede wszystkim przez własne małżeństwo – jest to wielka pomyłka. Taki człowiek nigdy nie dojdzie do świętości. Dlatego od pewnego czasu w Kościele coraz częściej beatyfikowani czy kanonizowani są małżonkowie razem, żeby podkreślać, że małżeństwo jest drogą do świętości.

W Opus Dei są zarówno rodziny, jak i ludzie żyjący w celibacie. W dzisiejszych czasach pojawiają się głosy, że celibat księży powinien

być zniesiony. Co Ksiądz myśli o takich postulatach?

Uważam, że współcześni ludzie, w tym świeccy, powinni na nowo docenić i odkrywać celibat. Kiedy nie było jeszcze zakonów ani życia konsekrowanego, pierwsi chrześcijanie wybierali dla siebie albo małżeństwo, albo celibat. Mamy przecież świadectwa z tamtych czasów, na przykład żołnierza, kupca *et cetera*, którzy decydowali się iść za Jezusem, wybierając właśnie celibat, tak jak wybrał go dla siebie sam Jezus. Święty Jan Paweł II napisał, że być może ten, kto nie rozumie celibatu, nie rozumie też małżeństwa. Te drogi w Kościele idą obok siebie i dążą do tego samego celu. Warto to sobie uświadomić i dobrze rozeznaczyć, jakie jest moje powołanie: do małżeństwa czy do celibatu. Przecież przez sam seks nie znajdziemy miłości, ona polega na czymś innym. Natomiast intymność

w małżeństwie jest zaplanowana przez Boga. Myślę, że zapominamy również o tym, że zarówno małżeństwo, jak i celibat to są wspaniałe drogi do szczęścia, do radości. Kościół rzymskokatolicki wybiera z tych, którzy mają dar celibatu, na kapłanów i widać, że nie chce tego zmieniać. Niedawno papież Franciszek powtarzał słowa Świętego Pawła VI, który mówił, że „woli umrzeć niż znieść w Kościele celibat kapłański”. Widać więc, jakie to jest ważne. Wydaje mi się, że cały czas jest przed nami zadanie odkrywania piękna chrześcijańskiego życia poprzez życie w celibacie. W wypadku Opus Dei kapłanami zostają ci, którzy wcześniej zdecydowali się na życie w celibacie, czyli numerariusze albo przyłączeni prałatury. Pod tym względem nie przeżywają więc trzęsienia ziemi, kiedy decydują się zostać kapłanami, już mieli bowiem doświadczenia celibatu dającego im wolność do

tego, żeby służyć innym wiernym. Dodam jeszcze, że św. Josemaría Escrivá sam był księdzem diecezjalnym, dlatego zależało mu na tym, żeby księża z Opus Dei służyli wiernym Kościoła w każdej diecezji, gdzie pracuje prałatura Opus Dei. Żeby nie trzeba było prosić w danej diecezji o kapłanów do pracy formacyjnej prałatury. Chodziło mu bowiem o to, żeby jak najlepiej służyć Kościołowi. Jednocześnie, sumować.

Ksiądz też najpierw wybrał celibat jako numerariusz w Opus Dei, a dopiero potem przyszło kapłaństwo.

Dokładnie tak. Oczywiście święcenia kapłańskie były bardzo ważne w moim życiu. Mogę teraz odprawiać każdego dnia Mszę świętą i udzielać sakramentów. Ale wcześniej, pracując jako architekt, również starałem się wykonywać swoje

obowiązki jak najlepiej. Tak było od początku, od kiedy przystąpiłem do Opus Dei.

Oprócz celibatu jeszcze jedna kwestia ostatnio jest tematem dyskusji, mianowicie kapłaństwo kobiet. Kiedyś ksiądz Piotr Pawlukiewicz powiedział, że Kościół to żeńska organizacja kierowana przez mężczyzn. Dlaczego więc kobiety nie mogą zostać kapłanami?

Znam od dawna księdza Piotra Pawlukiewicza i wszyscy wiemy, że ma ogromne poczucie humoru. Jego słowa rozumiem jako zachętę, żeby mężczyźni bardziej się angażowali i pogłębiali swoją wiarę. Dzięki Bogu w Opus Dei mamy po równo kobiet i mężczyzn. Bóg zdecydował, że będzie wcielony jako mężczyzna, i ustanowił, że kapłanami są mężczyźni. Z drugiej strony nie ma osoby na ziemi, która była tak blisko

Boga jak Maryja. Tylko Ona jest Matką Boga. Patrząc na ten Boży plan naszego zbawienia, trudno będzie stwierdzić, że kobieta jest drugiej kategorii w Kościele, bo nie jest kapłanem. W historii Kościoła wiele razy to kobiety zmieniły bieg dziejów: św. Katarzyna ze Sieny, św. Jadwiga, św. Teresa z Ávila czy św. Teresa z Lisieux. Także w Ewangelii kobiety zawsze dobrze wypadają. Mężczyźni już znacznie gorzej. To Marta jako pierwsza powiedziała, że Chrystus jest Bogiem. Miała dobrą intuicję. A to, że kobiet w Kościele jest więcej niż mężczyzn, może wynika z tego, że my, duchowni, nie potrafimy skutecznie dotrzeć do mężczyzn. Może źle się czują w różnych wspólnotach? Nie chcą być kojarzeni z jakąś dewocją? Duszpasterstwo trzeba prowadzić dla wszystkich.

Czyli kapłaństwo to jednak męska rzecz?

Owszem, ale dotyczy to tylko kapłaństwa urzędowego, czyli małej grupy, która może udzielać sakramentów. Mało mówi się o tym, że każdy z nas jest powołany do kapłaństwa, zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Bo wszyscy jesteśmy naśladowcami Chrystusa, pośrednikami, którzy poprzez świadectwo swojego życia prowadzą innych do Chrystusa. W momencie, kiedy przyjmujemy chrzest święty, stajemy się mediatorami. Przed Chrystusem tę świadomość mieli Żydzi. Czuli, że są narodem wybranym, żyjącym wśród pogan. Kobiety i mężczyźni z narodu wybranego mieli świadomość, że jest jeden Bóg i oni o Nim świadczą przed innymi. Każdy, kto w Kościele przyjął chrzest, komunię i bierzmowanie, już jest profesorem. Większej kariery nie można zrobić. Dlatego wszyscy – biskupi, kardynałowie, proboszczowie i świeccy – jesteśmy sobie równi. Wszyscy tak samo

mamy zadanie dojść do świętości. Ci, którzy są powołani do kapłaństwa, mają pomóc w tym innym, udzielając im sakramentów i wsparcia duchowego. A poza tym, jeśli kapłanami byłyby kobiety – albo mężczyźni, którzy są mężami i ojcami – to nastąpiłaby w Kościele klerykalizacja. Uważam, że nie byłoby to dobre.

Skoro poruszamy kontrowersyjne tematy, to chciałabym zapytać Księdza o amerykańskiego pisarza Dana Browna, autora powieści, które przedstawiły Waszą instytucję w złym świetle. Co Ksiądz pomyślał, kiedy o tym usłyszał?

Dla mnie jego pierwsza powieść była przed wszystkim atakiem na Kościół. Na Chrystusa. Wszystko zostało wymyślone. Szokujące dla mnie było to, że nawet wykształceni ludzie w to uwierzyli. Kiedyś poszedłem do

okulisty w Warszawie; pani doktor była pewna, że to, co przeczytała, jest prawdą. Dzięki Bogu, zrozumiała po naszej rozmowie, że to fantazja. Co ciekawe, ten negatywny wizerunek Opus Dei paradoksalnie sprawił, że wiele osób chciało osobiście dowiedzieć się więcej o tym, czym jest nasza instytucja. Czytali o nas i przychodzili do nas na spotkania. A teraz są w Opus Dei.

Jak widać, co nas nie zabije, to nas wzmocni... Pewnego rodzaju odpowiedzią na tamte książki był film „Gdy budzą się demony” w reżyserii Rolanda Joffégo z 2011 roku. To opowieść o życiu św. Josemaríi Escrivy i o źródłach Opus Dei.

Warto dodać, że Roland Joffé jest agnostykiem. Sam napisał scenariusz tego filmu. To był zresztą jego warunek. Początkowo wręczono mu inny scenariusz, napisany przez ludzi

z Hollywood, ale on go odrzucił.
Według mnie w tym filmie jest trochę
za dużo wątków, nie wszystkie mogą
być zrozumiałe dla widzów.
Jednocześnie bardzo go lubię,
zwłaszcza sceny, które przedstawiają
Josemarię Escrivę w czasach
młodości oraz te po wybuchu wojny
domowej w Hiszpanii w 1936 roku.
Reżyser pokazał, jaki Josemaría był
waleczny, cierpiący, a jednocześnie
serce miał pełne wiary. To wszystko
zostało świetnie ujęte. Lubię ten film.

***Roland Joffé, mimo że, jak Ksiądz
wspomniął, jest agnostykiem,
bardzo interesuje się tematami
duchowymi. Nakręcił przecież
między innymi słynną „Misję” z
Robertem De Niro i Jeremym
Ironsem.***

Niektórzy twierdzą, że jest to
najlepszy film religijny dwudziestego
wieku. Film „Misja” też bardzo lubię!

***Porozmawiajmy o codziennym
życiu Księdza tutaj, w Polsce.
Pracuje Ksiądz z młodzieżą...***

... w Krakowie i w Katowicach.
Mieszkam w akademiku Opus Dei i
jestem kapelanem dla jego
mieszkańców. Ale pracuję też z
dorosłymi, z małżeństwami. Cieszę
się z tego, dziękuję Bogu, że mam na
co dzień kontakt z młodymi, ale też i
ze starszymi osobami.

Prowadzi Ksiądz też rekolekcje?

Tak, rekolekcje krótsze, czasami
dłuższe. To wspaniała sprawa. Myślę,
że w dzisiejszych czasach, jak nigdy
wcześniej, potrzebujemy się
zatrzymać. Za dużo biegamy i często
nie wiemy, w jakim celu. Prowadzę
wykłady, a także osobiste rozmowy.
Spotkania formacyjne są potrzebne,
ale zawsze jednak zależy nam, żeby
każda osoba indywidualnie
wzrastała w wierze i nawiązywała
osobistą więź z Chrystusem. Mamy

formacje dla kobiet, mężczyzn, młodzieży, małżeństw oraz kapłanów. Z każdą z tych grup rozmawia się trochę inaczej, bo każdy prowadzi inne życie, ma inne okoliczności życiowe, inne problemy etc. Formacja duchowa w Opus Dei jest przede wszystkim indywidualna, takie jest założenie. Nasze spotkania formacyjne są jak stacja benzynowa. Samochód przyjeżdża, żeby zatankować, aby potem sam mógł jeździć. Osoby, które uczestniczą w naszej formacji, pracują w różnych miejscach na świecie, w miastach czy na wsi, a jednocześnie dają swoim życiem świadectwo bycia chrześcijaninem. Na sto procent dają siebie innym.

Jan Paweł II powiedział kiedyś, że najlepsi spowiednicy są w Opus Dei. Ksiądz też często ma dyżury w konfesjonale. Tymczasem są głosy, że spowiedź indywidualna powinna zostać zniesiona.

To wielki komplement od Świętego Jana Pawła II. To prawda, że my, księża prałatury, dużo spowiadamy, bo każdy wie, jak ważny jest ten sakrament pojednania. Święty Josemaría mawiał, że spowiedź to sakrament radości. Kryzys odchodzenia od spowiedzi przeżyłem, będąc jeszcze w liceum. Widziałem, co się stało na Zachodzie, są kraje, gdzie prawie nie ma sakramentu pokuty, a potem wszyscy idą do komunii. Ale myślę, że z takich kryzysów Kościół wychodził wiele razy. „Bramy piekielne nie przemogą”. Przecież to Chrystus chciał, żeby spowiedź była indywidualna. To, że nie potrzebuję księdza i spowiadam się u Ducha Świętego, już przerabialiśmy na Zachodzie, kiedy byłem w liceum. Jakie były tego efekty? Już wiemy. Warto więc sobie uświadomić, że Chrystus nas zna i wie, że nikt z nas nie jest dobrym sędzią, jeśli chodzi o własne sprawy. Ile pokoju i radości

jest w nas, kiedy podczas rachunku sumienia jesteśmy ze sobą szczerzy, mamy stałego spowiednika i do tego regularnie przystępujemy do spowiedzi...

A co Ksiądz myśli o takim postawieniu sprawy: skoro wyrządziliśmy jakąś krzywdę drugiemu człowiekowi, to poprzez księdza, czyli fizyczną osobę, powinniśmy ten grzech też wyznać. Skoro kogoś zraniliśmy, poprzez człowieka powinniśmy ten grzech oczyścić.

Myślę, że ten przykład wiąże się z naszą psychiką. Dotyczy empatii. Jednak do każdego człowieka należy podejść indywidualnie. Każdy inaczej czuje i inaczej widzi Boga. Historia każdej osoby jest inna. Bóg umie policzyć tylko do jednego. Nie ma klonów. Najważniejsze jest bowiem to, że za pośrednictwem

księdza Bóg nam przebacza. On nie ma dysku twardego. On zapomina.

Tymczasem sami sobie nie potrafimy czasami przebaczyć, a co tu mówić o drugim człowieku, który wyrządził nam jakąś krzywdę.

Ten temat łączy się z miłością do siebie. Dobra miłość do siebie, która nie jest próżnością ani pychą, sprawia, że widzimy się w prawdzie. Jestem tylko człowiekiem, dlatego popełniam błędy. Rozumiejąc siebie, rozumiem też innych. Są ludzie, którzy przez całe życie wracają do swoich błędów. Nie potrafią się od tego uwolnić. Święty Augustyn nabroił w młodości, a potem był bardzo daleko od depresji, był raczej żelaznym człowiekiem wobec trudności i bardzo radosnym. Żeby być szczęśliwym człowiekiem, trzeba mieć dobre relacje z samym sobą, z Bogiem i z innymi. Przebaczenie jest

fundamentem budowania tych dobrych relacji.

Coraz więcej ludzi szuka pomocy nie w konfesjonale, ale u psychologa. Czym różni się wizyta u psychologa od spowiedzi?

Bardzo interesuję się psychologią. Dużo na ten temat czytam.

Psychologowie otwarcie mówią, że jest pewna granica, za którą nie mogą już pomóc. Ta granica to sumienie. Jeśli pacjent jest wierzący, najlepszą drogą do uzdrowienia jest pojednać się z Bogiem. Osobiste doświadczenie miłosierdzia Bożego jest jednym z największych darów dla człowieka. Miłosierdzie to nie litość ani współczucie, ale o wiele więcej. To miłość bez granic. Ostatnio został mocno nagłośniony w mediach problem pedofilii w Kościele. Może to dobre, bo pomoże w leczeniu tej strasznej choroby. Ale uważam, że jednocześnie za mało kładziemy

nacisk na inną sprawę. Oczywiście bardzo współczujemy ofiarom tych okrutnych zdarzeń, ale czy zastanawiamy się, kto im pomógł lub pomaga wyjść z tej traumy? Czy mają do kogo zwrócić się z tym problemem? Tu powinno pojawić się miłosierdzie Boże, czyli umiejętność zrozumienia i pomoc dla osoby, która ma za sobą takie trudne przeżycie.

W takich sytuacjach, ale nie tylko, bo i na co dzień, może warto mieć swojego kierownika duchowego?

Określenie „kierownik duchowy” przez niektórych jest źle odbierane, bo kojarzy się z jakimś podporządkowaniem. „Kierownik” mówi nam, jak mamy żyć. A tak nie jest. Każdy z nas jest wolny. Bez wolności nie ma miłości. Wolność jest narzędziem, dzięki któremu nabieramy umiejętności kochania. A naszym, chrześcijan, celem jest kochać Boga i ludzi. Dlatego ten

kierownik duchowy, kapłan czy doradca duchowy – nieważne, jak go nazwiemy – może dawać sugestię, którą drogą warto podążać, żeby dotrzeć do miłości. Ale wybór tej drogi zawsze należy do nas.

Celem jest dotarcie do miłości, ale i do prawdy. W dzisiejszym świecie wielu ludzi żyje w podwójnych wymiarach. Pierwszy jest realny, a drugi – wirtualny, wykreowany. Trudno w tym wszystkim odnaleźć prawdę o sobie. Dowiedzieć się, kim się jest.

Święty Jan Paweł II dużo mówił o tym, że nie ma wolności bez prawdy. Napisał o tym encyklikę „Veritatis splendor”, czyli Blask Prawdy. Teraz panuje relatywizm moralny, każdy ma swoją prawdę. Wyobraźmy sobie, że idziemy do lekarza, robimy badania i na koniec pytamy, czy mamy raka, a on odpowiada: „Może tak, a może nie”. Tak to nie działa!

Jeśli nowotwór jest poważną sprawą, to choroba duszy jest równie poważna. Gdy przez swoje działanie tracę wolność, ma to ogromny wpływ na całe moje życie. Dlatego nie ma wolności bez prawdy. Kiedyś zapytano Jana Pawła II, które zdanie w Ewangelii lubi najbardziej. Odpowiedział: „Prawda was wyzwoli”. Poznaj prawdę, poznaj Chrystusa i sam będziesz decydować, kim jesteś. Poznasz swoją tożsamość. Życie z Chrystusem jest wielką przygodą życia.

Na pewno zdarza się w konfesjonale, że ktoś niby przyznaje się do winy, ale jednak woli się trochę wybielić. Wypieramy nasze grzechy albo przenosimy swoje emocje na innych. Dlaczego tak trudno przyznać się do winy? U drugiego łatwo zobaczyć źdźbło trawy, a u siebie belki się nie widzi...

Takie odbijanie piłeczki pojawiło się już na samym początku, u Adama i Ewy. Kiedy Bóg zapytał Adama: „Dlaczego zjadłeś jabłko?”, on odpowiedział: „Ewa mi kazała”. Dzisiaj mamy jeszcze jeden problem, a mianowicie żyjemy za szybko. Nie mamy czasu zastanowić się nad sobą. Czy zrobiłem coś złego? Czy moje czyny mi pomogły, czy zaszkodziły? Mówimy o tym nie tylko w Kościele, ale powtarzają to też psychologowie, że ceną współczesnego stylu życia jest brak czasu dla siebie. Nie mamy kiedy cieszyć się życiem. Ciągłe gonimy. Neurologicznie jesteśmy zatruci i nie chcemy o tym myśleć. Wciąż pracuję z dziećmi w szkole i zauważam taką ciekawą reakcję rodziców. Gdy jakieś dziecko narozrabia, rodzic natychmiast mówi: „Mój syn na pewno tego nie zrobił!”. Tymczasem chłopiec ma trzynaście lat, pali papierosy i są na to dowody, bo ma w plecaku paczkę papierosów i

zapalniczkę. Mimo to rodzic dalej się wypiera. Z czego to wynika? Podejrzewam, że taka matka czy ojciec ma tyle rzeczy na głowie, że już nie ma czasu ani siły, żeby o tym myśleć.

Patrząc na zwiększający się egoizm kolejnych pokoleń, warto zastanowić się, co jest nie tak dzisiaj z wychowywaniem dzieci. Jest z tym jakiś problem.

Po przyjeździe dziecka z przedszkola czy ze szkoły rodzice najczęściej pytają: „Jak ci minął dzień? Co zjadłeś? Jakie oceny dostałeś? Co masz zadane?”. Ale nie pojawia się już pytanie: „Co dobrego zrobiłeś dla innych? Może jakaś koleżanka popłakała się i trzeba ją było pocieszyć?”. Nie pytając o to, wychowuje się dziecko, które jest zapatrzone tylko w swoje potrzeby. Taka osoba nie będzie przygotowana do małżeństwa. Będzie nastawiona

tylko na siebie. To dlatego małżeństwa często rozpadają się po dwóch czy trzech latach. A przecież to w rodzinie powinniśmy nauczyć się żyć dla innych i czerpać z tego satysfakcję, bo hojność zawsze niesie ze sobą radość.

Może dlatego powstaje teraz w Kościele coraz więcej wspólnot skierowanych właśnie do małżeństw, do rodzin. To bardzo pozytywne zjawisko.

Bo ważne jest, żeby znaleźć przestrzeń, w której będzie można zająć się życiem duchowym, będąc właśnie żoną czy mężem. Można to robić w wielu różnych wspólnotach w Kościele. Bogactwo pod tym względem jest naprawdę niezwykle. I oby ich było jak najwięcej. My też zapraszamy rodziców i małżeństwa na wykłady i wieczory skupienia. Trwają krótko, ale ważne, żeby uczestniczyć w nich regularnie.

Modlitwa przed Najświętszym Sakramentem, czytanie Słowa Bożego... Każdy indywidualnie. Nie można tracić tego osobistego kontaktu z Panem Bogiem, bo to jest fundament naszej wiary. A potem należy zaprosić Go do naszego życia, małżeństwa, rodziny. To sprawia, że nasze życie zmienia się na lepsze.

Rodzice czasami zapominają, że dają świadectwo wiary swoim dzieciom. Jeśli dziecko katolików poważnie traktujących swoją wiarę odejdzie z Kościoła, to jest szansa, że do niego wróci?

Oczywiście. Znam wiele takich historii. Tak to właśnie działa. Ta wiara jest i kiedyś się znowu pojawi. Wiem, że może być to trudne dla rodziców, ale kiedy dziecko przestaje chodzić do kościoła, powinno czuć, że jest jeszcze bardziej kochane. Nie trzeba mu robić wymówek i zmuszać do chodzenia do kościoła. Należy je

kochać. Pokazywać, że się je akceptuje. Dać wolność wyboru. Trzeba być bardzo uważnym, bo w takich okolicznościach łatwo zranić dziecko i postawić się ponad nim. A przecież chodzi o to, żeby wiara do niego wróciła. Nic nie można robić na siłę. Zawsze powtarzam swoim uczniom: nie idziesz do kościoła, budynku, do proboszcza, ale idziesz do realnego Pana Jezusa. On na ciebie tam czeka. Jeśli tego nie rozumiesz, proś, jak postaci z Ewangelii, o wiarę. Jezus zawsze odpowiada na taką pokorną prośbę.

Mieszkał Ksiądz w wielu polskich miastach: w Szczecinie, Warszawie, a od kilku lat w Krakowie. Jak czuje się Ksiądz w tym królewskim mieście Jana Pawła II?

Bardzo lubię Kraków. To wspaniałe móc spacerować pięknymi, starymi uliczkami. Odwiedzać Sanktuarium

Miłosierdzia Bożego. To historia nie tylko Krakowa, ale też i całej Polski. Moi znajomi Hiszpanie, którzy przyjeżdżają do mnie w odwiedziny, wprost szaleją! Bardzo im się tu podoba. Kiedy piętnastego sierpnia w Hiszpanii wszyscy leżą na plaży, tutaj są kolejki do konfesjonałów. Kościoły pełne są ludzi. To jest wspaniałe. Oby tak dalej.

Jak obecnie wygląda sytuacja Kościoła katolickiego w Hiszpanii?

Wydaje mi się, że Hiszpanie kilka lat temu doszli do dna i teraz następuje powolny powrót do Kościoła. Są już diecezje – w Walencji, w Madrycie – gdzie kościoły znów są pełne. Jeszcze kilkanaście lat temu były puste.

Teraz to się zmienia. Ale na przykład w Barcelonie do kościoła chodzi tylko dwa-trzy procent mieszkańców. Są to głównie starsze osoby. Łatwo jest coś zburzyć, ale odbudować trudno. W kwestiach społecznych Kościoł w

Hiszpanii nie ma głosu, bo nie jest ważny dla mediów. Ale katolicy cieszą się, że ludzie wracają do wiary.

Porozmawiajmy jeszcze o pasjach Księdza. Jest ich wiele.

Wspominaliśmy o nich: to film, muzyka i malarstwo. Skąd się wziął zapał do muzykowania?

Muzyka towarzyszy mi od dawna, już od szkoły średniej. Dużo śpiewaliśmy też w mojej rodzinie. Bardzo to lubiliśmy. Gram na gitarze i bardzo to lubię.

Jakiej muzyki Ksiądz słucha?

Pop i muzyka klasyczna. Moim ulubionym zespołem od lat jest Simon and Garfunkel. Ale bardzo lubię też posłuchać The Beatles, Josha Grobana czy Michaela Bublé.

A malarstwo?

Lubię impresjonistów, dlatego moje obrazy są w podobnym stylu, dekoracyjne. Malowanie bardzo mnie uspokaja. Najpierw powstaje szkic, potem zaczynam przenosić pomysł na płótno. Mocno się skupiam. Mieszam farby, dodaję kolory. Obraz nabiera kształtu. I następuje moment, kiedy należy zakończyć pracę. Nic dodać, nic ująć, bo tylko będzie gorzej. (*śmiech*)

***Co z marzeniem o architekturze?
Czy wciąż Ksiądz zajmuje się
projektowaniem?***

Tak. Zdarza się, że zaprzyjaźnieni proboszczowie, budujący świątynie, proszą mnie o pomoc czy radę. Współpracuję między innymi z proboszczem ze Szczecina, gdzie budowany jest kościół pod wezwaniem Świętego Josemaríi Escrivy. Pomagałem w projektowaniu witrażu oraz prezbiterium. Niektóre kaplice w

naszych ośrodkach też projektowałem albo pomagałem, robiąc pierwszy szkic. Cały czas mam coś małego do zrobienia, jeśli chodzi o architekturę. Bardzo się z tego cieszę.

Buduje więc Ksiądz zarówno te kościoły zewnętrzne, jak i wewnętrzne, w duszach ludzi.

Praca nad sobą trwa całe życie. Nawet gdy mamy już fundamenty, mury i dach, to ciągle trzeba coś remontować, odnawiać. Tak samo jest z człowiekiem. Wciąż budujemy. Ważne jest, żebyśmy robili to dla Boga. Bo kiedy z Nim jesteśmy, jest nam dobrze.

Bohaterowie książki „Szczęśliwa służba. Rozmowy z kapłanami prowadzi Marzena Juraczko”:

Ksiądz biskup Marek Solarczyk (ur. 1967 r.). Biskup pomocniczy diecezji warszawsko-praskiej. Należy do pierwszego rocznika kapłanów, który w 1992 roku przyjął święcenia w nowo powstałej diecezji warszawsko-praskiej. Był wikariuszem i proboszczem w katedrze św. Floriana w Warszawie. W 1999 roku obronił doktorat na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie. W latach 2005-2009 był wicerektorem Wyższego Seminarium Duchownego Diecezji Warszawsko-Praskiej. Święcenia biskupie przyjął 19 listopada 2011 roku. Przewodniczący Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Duszpasterstwa Młodzieży. W 2018 roku wziął udział w sesji Synodu Biskupów o młodzieży. Od ponad 20 lat pracuje jako katecheta w szkole.

Ksiądz dr Jerzy Jastrzębski (ur. 1975 r.). Kapłan archidiecezji warszawskiej od 2000 roku. Ukończył retorykę na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz

homiletykę na Uniwersytecie im. Jana Pawła II w Krakowie. Promuje nauczanie Prymasa Tysiąclecia poprzez wykłady, rekolekcje i publikacje (płyty „Pakiet dla rodziny” i „Pakiet dla państwa” oraz książka „Paragraf w sercu. Kardynał Stefan Wyszyński o miłości i sprawiedliwości społecznej”). Od roku 2010 wykładowca Wyższego Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie. Diecezjalny asystent Akcji Katolickiej Archidiecezji Warszawskiej. Należy do Wspólnoty Emmanuel.

Ksiądz dr Piotr Prieto Villanueva (ur. 1952 r.). Urodził się w Sevares w Hiszpanii. Ukończył Wydział Architektury na Politechnice w Barcelonie. Studiował teologię w Rzymie. W 1982 roku uzyskał tytuł doktora prawa kanonicznego. Tego samego roku przyjął święcenia kapłańskie z rąk papieża Jana Pawła II. Przyjechał do Polski w 1995 roku.

W latach 1999-2013 był wikariuszem regionalnym prałata Opus Dei na Polskę. W 2019 roku przyjął obywatelstwo polskie. Duszpasterz i wychowawca młodzieży. Mieszka w Krakowie.

Ksiądz prof. Jan Sochoń (ur. 1953 r.). Świecenia kapłańskie przyjął w 1984 roku. Od 1996 roku wykładowca akademicki. W 2006 roku uzyskał stanowisko profesora zwyczajnego na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, gdzie kieruje Katedrą Filozofii i Kultury. Wykłada także w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie. Filozof, teolog, poeta, eseista, krytyk literacki i biograf. Wydawca pism bł. ks. Jerzego Popiełuszki oraz autor licznych publikacji na jego temat. Otrzymał wiele nagród, w tym Feniksa (2003, 2016). Mieszka w Warszawie. Strona internetowa: jansochon.pl.

Ksiądz Jerzy Sobota (ur. 1969 r.). Wychował się w Sępólnie Krajeńskim w diecezji pelplińskiej. Święcenia kapłańskie przyjął w 1994 roku. W 1997 roku został mianowany wikariuszem niemieckiej para i św. Gertrudy oraz Polskiej Misji Katolickiej w Würzburgu w Niemczech. 1 maja 1999 roku został proboszczem misji i pełni tę funkcję do chwili obecnej. Rycerz Niepokalanej.

Ksiądz Sławomir Szypulski (ur. 1969 r.). Pochodzi z diecezji siedleckiej. Od 1995 roku jest kapłanem Kościoła katolickiego. Katecheta i duszpasterz akademicki. W 2016 roku został upoważniony do dokonywania egzorcyzmów. Mieszka w Białej Podlaskiej.

Ksiądz Robert Grzybowski (ur. 1977 r.). Duszpasterz diecezji drohiczyńskiej. Święcenia kapłańskie przyjął w 2003 roku. Pasjonat sportu, miłośnik wspinaczki górskiej,

zdobywca wielu szczytów. Jesienią 2011 roku rozpoczął budowę pustelni w niewielkiej miejscowości Poletyły koło Brańska. Uroczyste ustanowienie Pustelni Zwiastowania odbyło się 25 marca 2017 roku.

pdf | dokument generowany
automatycznie z [https://opusdei.org/pl-
pl/article/swietosc-na-co-dzien/](https://opusdei.org/pl-pl/article/swietosc-na-co-dzien/)
(07-04-2026)